

Krzysztof Łoziński

Kung fu po polsku



Opowiadanie

Mam 75 lat. Chodzę o kulach, źle oddycham. To taki straszliwy życiowy kontrast do tego, kim byłem przez niemal całe wcześniejsze życie. Coraz bardziej mam wrażenie, że pora z tego życia zdawać raport.

Jakie to życie było? Ciężkie, tragiczne, radosne, ciekawe...? Wszystkim było po trochu. Wcale go nie żałuję. Wręcz przeciwnie, uważam, że życie ludzi od razu urodzonych w dobrobycie, bezpieczeństwie, spokoju, było po prostu nudne. Gdy oglądałem serial „Żony Hollywood”, i widziałem te puste lale, które miały wszystko, to myślałem, życie wiejskich kobiet, które nosiły wodę ze studni, rąbały drzewo na opał i pasły krowy, było znacznie bogatsze, niż tych bogatych lał.

Widzę mieszkania młodych zamożnych ludzi, dobrze ustawionych, teoretycznie dobrze wykształconych. Mieszkania bez ani jednej książki i twarze z zerową ciekawością świata. To też nie moja bajka.

Ja nie miałem nic danego od losu. Wszystko musiałem zdobywać, a świat mi raczej przeszkadzał a nie pomagał. Ten świat, w którym żyłem – PRL. I dlatego, otaczająca mnie rzeczywistość nauczyła mnie walczyć, nie poddawać się, nie narzekać, pięści zacisnąć i do przodu.

Młodość chmurna i durna

Mam 16 lat, chodzę do Liceum Czackiego na Karowej w Warszawie. Od czterech lat moją pasją jest wspinaczka, choć głównie jeszcze na podwarszawskich bunkrach, latem w dolinkach regłowych, na Małym Giewoncie, na Nosalu. Mam 16 lat i właśnie powtarzam dziewiątą klasę (drugą licealną), bo miałem w zeszłym roku 148 dni nieobecności nieusprawiedliwionych. Przez 148 dni roku szkolnego szkoliłem się, ale nie w szkole, tylko w Czosnowie na bunkrach stanowiących część zewnętrznego pierścienia umocnień carskiej Twierdzy Modlin. W nowej klasie szybko zarażam swoją pasją kolegów: Braci Wroczyńskich – Michała, Krzysztofa i młodszego Piotra. Wkrótce niemal pół klasy gości co niedzielę na czosnowskich bunkrach.

Ale mnie właśnie odbiło w nowym kierunku. Przypadkowo poszedłem na węgry do kina, na film „Tygrys lubi świeże mięso” (francusko-włoski film Charbola z 1964 roku). Ten przypadkowy film, którego już nigdy później już nie znalazłem, zaważył na znacznej części mojego życia. Występował w nim brytyjski komandos, który gdzieś na wschodzie nauczył się tajemniczego „uderzenia karatem”. Ten tajemniczy „karat” zupełnie mnie zafascynował. Zachciałem nauczyć się tej tajemniczej sztuki walki. Kłops jednak w tym, że w Polsce nikt wówczas o karate nie słyszał. Chyba nawet nikt nie znał tej nazwy. Wśród młodzieży podwórkowej krążyły mity o ciosie „karatem”, czyli kantem dłoni w szyję, który to cios miał być niezawodnie śmiertelnym. Była jeszcze wersja „zamkniętego karata”, czyli uderzenia bokiem pięści jak młotem.

Tu trzeba wspomnieć o pewnej subkulturze młodzieżowo podwórkowej. W tamtym czasie, na Starówce, Mariensztacie i Powiślu nie można było nie umieć się bić. I trzeba było wiedzieć, którądy chodzić, a którądy nie, bo lokalne młodzieżowe gangi zbierały „placowe”. My z Miodowej mieliśmy na pieńku z tymi z Kamiennych Schodków. A oni z nami. Na przykład, gdy wchodziłem na Mariensztat, wyrastał przede mną dużo starszy chłopak i pytał:

- Kogo znasz?
- Jasiona.
- Git. Nie mam żalu!

I mogłem iść. Ten Jasion nie był żadnym zulem, tylko kolegą ze szkoły, ale mieszkał na Mariensztacie. I to wystarczyło. Ale gdy się nikogo nie znało, to trzeba było albo oddać wszystkie

pieniądze (placowe), albo się bić, albo szybko biegać. Jakiś czas później, podobno, porządek na Mariensztacie zaprowadził młody jeszcze zapaśnik Andrzej Supron, który chodził do szkoły na Bednarskiej i był w jednej klasie z moją siostrą Magdą.

Tak więc miałem dodatkową motywację, by uczyć się walki, zwłaszcza że byłem mniejszy i lżejszy od większości rówieśników. Przyspieszyłem ze wzrostem dopiero później.

Czytelnik może odnieść wrażenie, że żyłem głównie na podwórkach i ulicach. Prawda jest inna. Żyłem na granicy dwóch światów, świata intelektualnych elit mojej rodziny i świata rówieśników ze Starówki. W naszym domu bywali malarze Marian Bogusz i Alfred Lenica, profesorowie Tadeusz Orłowski i Władysław Bartoszewski, tak że ja, nawet po skończeniu studiów prosty astrofizyk niepraktykujący, czułem się malutki. W dodatku, jak mówiła moja mama, profesor medycyny, zamiast pomnażać tytuły doktorskie rodu „fikam koziołki” (tak moja mama określała uprawianie sportu).

Shorinji Kempo

Chciałem zapisać się na judo. Poszedłem do klubu AZS Osiedle Przyjaźń na Jelonkach (był tam kiedyś akademik). I tu nagle okazało się, że nie mogę. Bo mam 16 lat i wiekowo pasuję do grupy starszej, a wagowo do grupy młodszej, bo ważę 54 kilogramy, a grupa starsza jest od 55 kg. Dziś wiem, że mogli mnie przyjąć, tylko pewnie uznali, że taki mały, to pożytku nie będzie. Po prostu mnie spławili.

Ale przy okazji dowiedziałem się, że jest taki Japończyk, który prowadzi coś dziwnego, „szori coś tam”, czort go zna, co to jest. Japończyk okazał się bardzo miłym człowiekiem i mnie przyjął.

- To, że jesteś mały, nie szkodzi. Tego, że urośniesz w górę, nie mogę ci obiecać, ale w barach urośniesz na pewno.

I tak, od przypadku, zaczęła się moja przygoda, z chińską sztuką walki. Trwała 46 lat.



Zawodniczka chińska wykonuje formę modliszki. Mistrzostwa świata w stylu Hung Gar w Warszawie, 2004 rok. Fot. Krzysztof Łoziński.

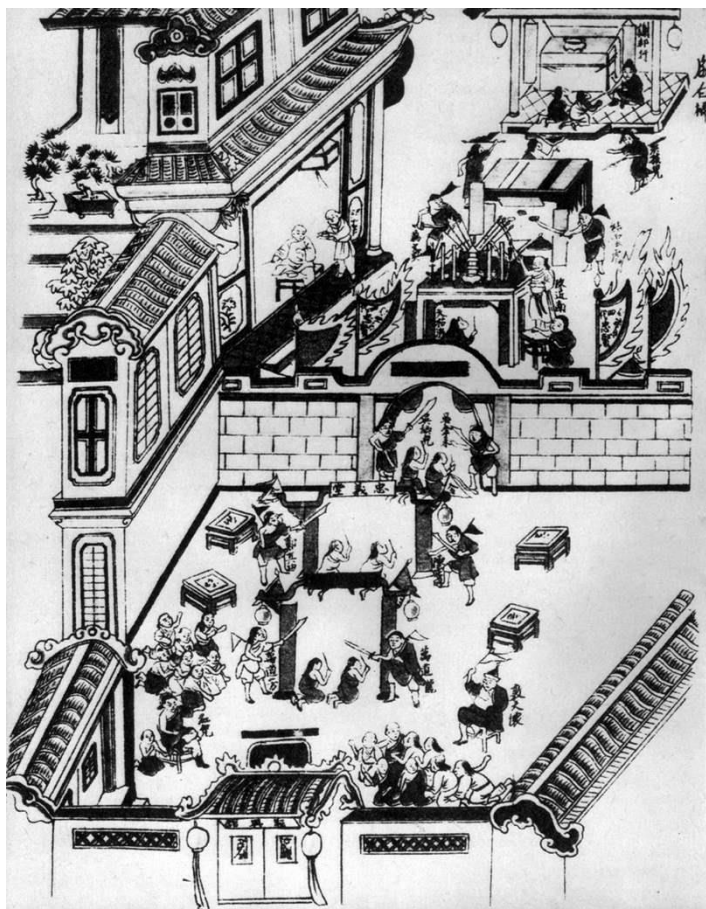


Ćwiczenia wu shu (kung fu). Ilustracja z okresy dynastii Han (206 r. pne - 220 r. ne).

Muszę tu wyjaśnić parę pojęć. Chińska sztuka walki, licząca co najmniej siedem tysięcy lat, za pomocą której walczono na wojnach, nazywa się na prawdę *wu shu*, co znaczy dosłownie *sztuka obrony*. Ale na Zachodzie przyjęła się błędna nazwa *kung fu*. Tę błędną nazwę w dużym stopniu rozpropagował amerykański aktor grający w filmach walki Bruce Lee. A skąd się ona wzięła? Pierwszy raz w zachodnich mediach opisał ją brytyjski oficer, który zauważył mężczyznę ćwiczącego formy na placu i zapytał tłumacza co to jest. Tłumacz chyba źle zrozumiał pytanie i odparł: *kung fu*, to znaczy *dobrze to umie* lub *dobrze to robi*. Zwrot *kung fu* znaczy dosłownie *dobra umiejętność* i wymawia się to *gonk fu*. (w zapisie pin in literę *g* czyta się jako *k*, a *k* jako *g*). Wu shu nazywane też było *chińskim boksem*, przez skojarzenie z powstaniem związku Yiheguan (I He Chuan - Pięści Sprawiedliwości i Pokoju) na przełomie XIX i XX wieku, które w literaturze europejskiej widnieje jako Powstanie Bokserów.

Wu shu jest najstarszą orientalną sztuką walki, z której wywodzą się wszystkie inne: ju jitsu i judo, karate, aikido, taekwondo, viet vo dao, indonezyjski pencak silt, a nawet odmiany malajskie, tajskie (muai thai, inaczej boks syjamski), kambodżańskie i wiele innych. Jest sztuką całościową, obejmującą nie tylko walkę wręcz, ale i wiele rodzajów broni, takich jak kij, miecz, szabla, włócznia, halabarda i wiele innych.

Dzisiejsze wu shu dzieli się na dwie odmiany Południową Pięść (Nan Quan) i Długą Pięść (Chang Quan). Nie ma natomiast czegoś takiego jak Północna Pięść, no chyba że w filmach. Style południowe, Nan Quan, wywodzą się z Klasztoru Shaolin, a style Cheng Quan z klasztoru Wu Dang.



Przyjęcie do tajnego stowarzyszenia. Kandydaci przechodzą próby przy kolejnych bramach. XVI wiek.

Zostawmy na chwile teorię. To, co zacząłem ćwiczyć u Japończyka, było japońską odmianą stylu Shaolin (Shaolin Shu), jednego ze stylów południowych i po japońsku nazywa się Shorinji Kempo. Ta nazwa jest po prostu dosłownym tłumaczeniem nazwy chińskiej na język japoński.

Ale ja wtedy jeszcze tego wszystkiego nie wiedziałem. Ówczesna wiedza Polaków o wschodniej sztuce walki, z wyjątkiem judo, była po prostu zerowa.

Od razu zetknąłem się z paroma rzeczami, które były dla mnie całkowitą nowością. Pierwszą był morderczy trening. W innych dyscyplinach sportu w naszym kraju trenowało się w porównaniu z tym w stylu „luzik i spoko”. Dotąd uważałem, że 10 pompek to dużo, a tu się dowiedziałem, że to bardzo mało i „mniej niż 50 się w ogóle nie robi”. Dotąd myślałem, że tak zwany „dżamp”, albo „żabki” to można przez kilkanaście metrów, a nie dookoła stadionu. I, co ciekawe, wcale mnie to nie odstraszyło. Wręcz odwrotnie, zafascynowało.

Drugą rzeczą, która mnie zaskoczyła, był stosunek naszego mistrza do bójek. Ja początkowo chciałem nauczyć się bić, a tu się dowiedziałem, że właśnie tego mi nie wolno. Japończyk stawiał sprawę prosto: opanujesz z czasem perfekcyjną sztukę walki, ale nigdy nie będziesz jej używał inaczej niż na zawodach sportowych. W dodatku zabraniał opowiadania kolegom, że się ćwiczy, przechwalania się, itp. Po raz pierwszy zetknąłem się z buddyjską i taoistyczną koncepcją człowieka. Dowiedziałem się, że „bęben jest głośny, bo jest pusty” a „prawdziwej siły nie widać”. Kilka lat później zadziwił mnie osobliwym postępowaniem. Szliśmy ulicą i wyrósł przed nami bardzo agresywny facet i

agresywnym tonem zażądał od Japończyka: „Pożycz pięć złotych”. Oczywiście nie chodziło o żadną pożyczkę, tylko o wymuszenie, a może prowokację do bójki. Mój mistrz, który mógł osobnika znokautować w ciągu sekundy, wyjął z kieszeni pięć złotych i mu dał. Zatkano mnie. Pytam: czemu mu to dałeś? A on na to: A co? Miałem zmasakrować bezbronnego człowieka, tylko dlatego, że jest tak głupi, żeby się na mnie porwać?



Kopnięcie boczne, Wang Tek lub Yoko Geri (jap.) w moim wykonaniu. Ok. 1972 roku. Fot. z archiwum K.Ł.

Ja, wychowany w subkulturze podwórkowej, najchętniej bym gościowi przyłożył, ale szybko zrozumiałem, że to błąd. Te zasady ostatecznie przyjąłem za swoje. Efekt był taki, że dysponując później umiejętnościami, których wielu ludzi nie potrafi sobie nawet wyobrazić, przez całe życie nikogo nie pobiłem. Wyjątkiem były przypadki, kiedy stawałem w czyjejs obronie, ale i wtedy używałem siły bardzo powściągliwie.

Później przekonałem się, że ludzie nieraz sami prowokują bójkę, bo zupełnie niepotrzebnie reagują agresywnie. Bywa, że jakiś żul agresywnie domaga się papierosa, albo pięciu złotych. To lepiej mu dać niż ryzykować awanturę, z której nie wiadomo co wyniknie. Naprawdę konsekwencje mogą być poważne i nie warto ich ryzykować dla pięciu złotych. No, ale honor nam nie pozwala! Czyżby? Czy wyceniamy nasz honor na pięć złotych? A poza tym, co to za honor? Według koncepcji taoistycznej, czym bardziej nadęte, tym bardziej puste.

Mój japoński trener nauczył mnie czegoś więcej niż tylko sztuki walki. Nauczył mnie życia. Mówił dość dobrze po polsku i nie kazał mówić do siebie „mistrzu”, „shy fu”, tylko po imieniu – Naoki. Tak samo ja później, dla swoich uczniów byłem po prostu Krzysiek. Żadnego „mistrzu”, „trenerze”, tylko Krzysiek.

Przyszedł rok 1968, wydarzenia marcowe. Wyleciałem ze studiów i trafiłem na prawie trzy lata do wojska. To cała osobna historia, opisałem ją w książce „Życie pod wiatr”. Przerwałem treningi po czterech latach. Miałem już spore umiejętności. Gdy wróciłem, w 1971 roku, mój mistrz już wyjechał z Polski. Był dyplomatą i przeniesiono go na placówkę w innym kraju. Ale nie zapomniał o mnie. Cekał na mnie list, w którym nadawał mi stopień 1 Dan. Pierwszy raz w życiu mogłem założyć czarny pas.

Przez jakiś czas nasza kiluosobowa grupa jego uczniów ćwiczyła nadal, ale stopniowo się wykruszała. W końcu zostałem sam. Trudno się ćwiczy samemu mistrzu Naoki. Ale po coś nadałeś mi czarny pas. Czas założyć własną szkołę walki.

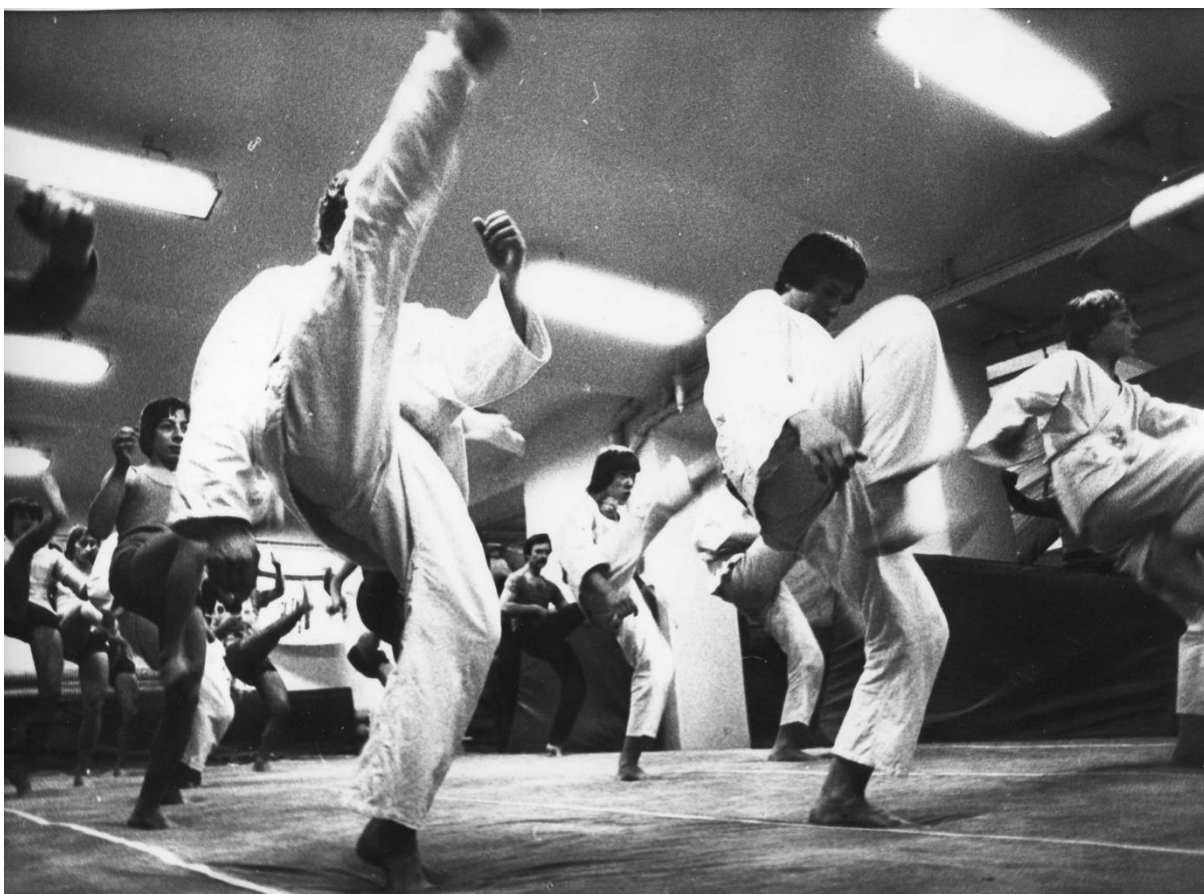
1976 – mój klub

Od trzech lat jestem nauczycielem. Uczę fizyki w liceum, a jednocześnie jeszcze studiuję równoległe matematykę i fizykę. Ta trzyletnia przerwa w życiorysie na wojsko wszystko mi skomplikowała. W 1972 roku musiałem od początku zdawać egzamin wstępny. Władza wydała represyjny przepis dla takich jak ja, którzy po represjach 1968 roku wracali na studia z wojska lub więzienia. Przepis mówił, że po dwóch latach przerwy wszystkie egzaminy są nieważne. Mnie to trafiło jeszcze łagodnie, bo wyleciałem wówczas z pierwszego roku, ale byli tacy, których wyrzucono z czwartego lub piątego. No i ja trafiłem tylko do wojska, a dwaj moi bliscy koledzy, Janek Lityński i Janek Walc, trafili do więzienia. Ja byłem w trakcie wojska aresztowany tylko przez trzy miesiące. Do więzień trafiło wówczas 2700 osób.

Musiałem nadrabiać nie tylko studia, ale i życie. W 1975 roku ożeniłem się i musiałem zacząć zarabiać, stąd praca w szkole. Studia ukończyłem dopiero w 1976 roku. Zrobiło się trochę lżej. Latem mogłem wreszcie pojechać na wyprawę, w Hindukusz. Jesienią założyłem własną szkołę walki.

Nie było to takie proste. Żadne kung fu, ani chińskie, ani japońskie, oficjalnie w Polsce nie istniało. A żyliśmy w kraju, w którym wszystko było państwowe. Założenie, tak jak teraz, prywatnej szkoły walki było po prostu niemożliwe. Wyjściem był TKKF. Na szczęście od pewnego czasu trenowałem równoległe judo w klubie AZS UW, u Romana Kwaterskiego i Staszka Tokarskiego. Miałem od niedawna uprawnienia instruktora judo.

Jeśli ktoś nie może połapać się w meandrach mojego życia, to go pocieszę: nie jest pierwszy. Moja żona, Miśka, mówiła: Co ty wyprawiasz? Wspinasz się, studiujesz, uczysz, trenujesz dwa sporty walki, fotografujesz... Może kup sobie kozę? Rzeczywiście cały jeden pokój naszego mieszkania na Miodowej zamieniony był w ciemnię, bo właśnie zaczynałem eksperymentować z fotografią barwną, a w drugim pokoju walały się hantle, sztangi, liny i czekany. Rzeczywiście, jak w żydowskim dowcipie, tylko kozy brakowało.



Trening w salce TKKF przy ul. Górczewskiej w Warszawie. 1976 rok. Fot. z archiwum K.Ł.

Wracajmy do kung fu. Założyłem w TKKF „sekcję samoobrony”, bo tak się to musiało nazywać, by mogło istnieć. Sekcji kung fu założyć nie mogłem, bo wedle władzy takiej dyscypliny nie było. Sekcji judo też nie mogłem, bo musiałbym mieć błogosławieństwo PZ Judo, a na to musiałbym mieć stopień mistrzowski w judo, którego jeszcze nie miałem. A samoobrona to właściwie nikt nie wie, co to jest. I tym sposobem, pod pozorem sekcji samoobrony powstał pierwszy klub kung fu w Warszawie.

Tu muszę wyjaśnić, czym się różni klub od „sekcji”, czy „kursu”. Tym, że do klubu się należy niezależnie od tego, czy ma się wyniki, czy się ćwiczy, czy ma się przerwę, czy ma się 60 lat i już się nie da rady. To nie jest tak, jak na „kursie” – zapłaciłeś za, kurs się skończył i do widzenia.

Wówczas nie wiedziałem, że nieco wcześniej Grzegorz Ciembroniewicz założył w Krakowie pierwszy klub kung fu w Polsce, tak więc mój był drugi. Różnica była jednak taka, że Krakowiaczy złożyli klub, sprowadzili z Kanady trenera i dopiero zaczęli się uczyć, ja zaś miałem już 1 Dan w Shoriji Kempo i dobre parę lat praktyki.

Dziwne to były czasy. Władza rozumiała sport jako coś, czym można się chwalić na defiladach i paradach i zdobywać medale ku chwale systemu. Ale nie, żeby tam jakieś prywatne fanaberie. Władza w dodatku bała się społeczeństwa i bardzo niechętnym okiem patrzyła na spontaniczne rozwijające się sporty walki. A w tym czasie, równoległe do nas pojawiły się pierwsze kluby karate. W Warszawie prowadzili takie kluby Aleksander Trofimow i Marek Stefaniak. Władza co raz wpadała na pomysły, by nas wszystkich rejestrować jako potencjalnie niebezpiecznych dla systemu. No i co raz wpadała na pomysły, by nasze kluby pod jakimś pretekstem rozwiązać.

„Jak student rzuca w milicjanta kamieniem, to sobie poradzimy, ale żeby student jakiś karaty ćwiczył, to na to władza ludowa zgodzić się nie może!” - miał ponoć grzmieć Towarzysz Urbanowicz. Zresztą o tym, jak władza myślała o sporcie i o wolności świadczył pewien incydent.

W „Życiu Warszawy” ukazała się notatka, że na Polu Mokotowskim wieczorami ktoś biega, z sugestią, że jest to coś niebezpiecznego. Kilka dni później kolejna notatka: tajemniczego biegacza złapano!!! Okazało się, że to docent z Politechniki, który biega dla zdrowia.

TKKF pozwolił mi założyć sekcję, ale nie miał zamiaru mi płacić za pracę trenera. Zresztą ja wcale pieniędzy za swoją działalność nie oczekiwałem. Moimi pierwszymi uczniami byli głównie uczniowie ze szkoły, w której uczyłem fizyki i ich koledzy. Od początku ustanowiłem takie zasady, jakich nauczył mnie mistrz Naoki. Żadnego przechwalania się, żadnych napisów kung fu na torbach, żadnych bójek. I naprawdę za złamanie tych zasad twardo z klubu wywalałem.

Początkowo treningi odbywały się w budynku TKKF przy ulicy Górczewskiej, w dwóch małych salkach, z których jedna wyłożona była matą, ale nie porządną matą tatami, tylko gimnastycznymi materacami przykrytymi plandeką. Warunki więc były spartańskie. Poza treningiem kung fu prowadziliśmy też zajęcia z judo (dla tych samych grup). Judo prowadziłem ja i Jurek Bielenin, który był zawodowym trenerem judo i, tak jak ja, taternikiem. Na tym etapie używaliśmy japońskich nazw technik walki, bo prawdę mówiąc chińskich jeszcze nie znałem.

Wkrótce okazało się, że te małe salki na Górczewskiej są niewystarczające, bo chętnych do ćwiczeń przybywało. Zaczynała się moda na orientalne sztuki walki. Zaczynaliśmy wynajmować szkolne sale gimnastyczne, załatwiane po znajomościach, bo na płacenie za wynajem nie mieliśmy pieniędzy. Treningi prowadziłem tak, jak się nauczyłem. Pot lał się po ścianach.

Brak własnego obiektu, własnej Sali, owocował tym, że jednego dnia miewaliśmy treningi w dwóch lub trzech miejscach i prowadzący musieli się szybko przemieszczać. Najczęściej służył do tego Fiat „Maluch” jednego z kolegów. Kiedyś pobiliśmy swoisty rekord. W jednym „Maluchu” upchnęliśmy się w sześciu, plus kije, halabarda, włócznia i dwie szable.

O nienormalności tamtych czasów świadczy taki fakt. Klub Judo AZS UW „Asahi”, w którym ćwiczyłem, starał się o porządną matę tatami, bo też, jak u mnie na Górczewskiej, ćwiczyliśmy na gimnastycznych materacach. Władze AZS powiedziały Staszкови Tokarskiemu, że tatami dostaniemy, jak pójdziemy w judogach na pochód pierwszego maja. Nie, jak będziemy mieli wyniki, tylko jak pójdziemy na pochód. Zimno było jak cholera, dziewczyny nam się pozaziębiały, ale tatami dostaliśmy. PRL był takim krajem, w którym coś normalnego było ekstra wydarzeniem.

Trudne czasy

Już w drugim roku działalności pojawiły się kłopoty. Najpierw z kierownikiem ośrodka TKKF, który miał, delikatnie mówiąc inne podejście do sportu, niż ja. Po pierwszym roku działania klubu oświadczył mi nagle:

- Wie pan co? Mam inną propozycję. Tę sekcję zamkniemy, a pan poprowadzi gimnastykę dla kobiet. To bardziej dochodowe i będzie pan miał ładne dziewczyny...

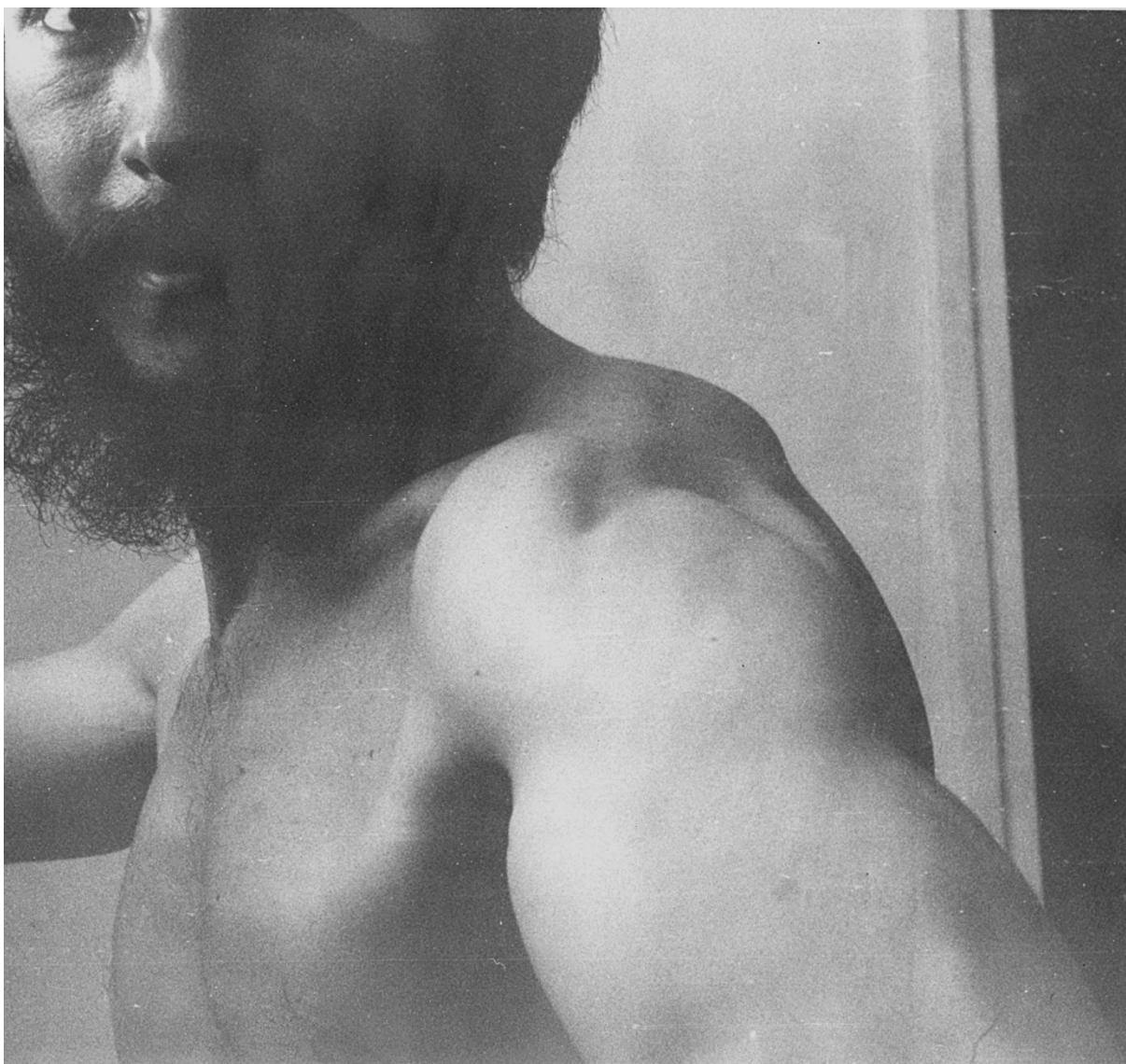
- Ładnych dziewczyn mi nie brakuje, nie idę na to.

- No to pana zwalniam.

Odwołałem się do „wyższej instancji” i wygrałem. Ja zostałem, a kierownik nie.

Ale to była dopiero przygrywka.

Nagle dostaję wezwanie do prokuratury Warszawa Wola. Myślałem, że chodzi o politykę, bo przecież byłem podpadziochem z marca 68, a ostatnio zacząłem się angażować w kolportaż „Biuletynu Informacyjnego” KOR (Komitetu Obrony Robotników). Ale nie o to szło.



Podczas ćwiczeń na siłowni. Ok. 1975 r. Fot. Jadwiga „Miśka” Łozińska.

W gabinecie było dwóch mężczyzn. Jeden przy biurku, a drugi z tyłu na krześle. Zaczął ten pierwszy:

- To, ile wy na tym zarabiacie?
 - Nie wiem jacy „wy”, bo ja jestem jeden i mówię do mnie „proszę pana”.
 - Wy mi się tu kurwa nie stawiajcie!
 - Jak chce pan rozmawiać z kurwą, to proszę ją wezwać, a do mnie się mówi na „pan”.
- Drugi facet, widząc, że ten styl nie ma sensu, przerwał:
- Spokojnie towarzyszu - i do mnie – Ile pan na tym zarabia?
 - Tyle co każdy nauczyciel w liceum, dwa tysiące (ciągle jeszcze uczyłem fizyki w szkole).
 - Nie o to chodzi, O te treningi. Ile pan na tym zarabia?
 - Nic.
 - Jak to nic?
 - Tak, że nic.
 - To za darmo pan pracuje?
 - Za darmo.

- Ale uczestnicy za zajęcia płacą.
- Płacą ognisku TKKF, a nie mnie.
- To po co pan to robi?
- Bo lubię. Lubić chyba wolno.

Facet zamilkł na chwilę.

- Bo wicie, my mamy doniesienie, od komisji do spraw karate.

Przyznam, że zbaraniałem. Jakiej komisji? Co ma wspólnego ze mną jakaś komisja do spraw karate? Jakie doniesienie?

Okazuje się, że pięciu panów, Andrzej Drewniak, Janusz Gutkowski i Jacek Grochowski z karate Kyokushin, Leszek Drewniak z karate Shotokan oraz dziennikarz sportowy Janusz Świerczyński, założyli sobie Komisję do Spraw Karate, ciało doradcze przy zarządzie TKKF i ta komisja „wybrała style karate, które wolno w Polsce ćwiczyć”. Oczywiście te, które sami ćwiczyli. To nic, że jakaś komisja doradcza przy TKKF, uzurpuje sobie kompetencje sejmu i uważa, że może ustanawiać prawo, zupełnie jakby pięciu panów przy piwie ustaliło, że zielonymi samochodami jeździć nie wolno, bo oni jeżdżą czerwonymi. Ale co ma do mnie komisja karate? Ja nie trenuję karate, tylko kung fu. Okazuje się, że wiedza tych panów na temat sztuk walki była tak głęboka, że nie odróżniali kung fu od karate. Ale było i drugie dno. Ja byłem dysydentem, a oni byli partyjno-milicyjni po uszy. Andrzej Drewniak był judoką z Wisły Kraków (Gwardyjski Pion Sportowy MSW) i oficerem milicji, Leszek Drewniak brał udział w bojówce ZMS-u, która napadła na mieszkanie Jacka Kuronia bijąc Adama Michnika i Henryka Wujca. Janusz Świerczyński był zaś dziennikarzem sportowym z Dziennika Telewizyjnego, redakcji niemal ręcznie sterowanej z KC PZPR.



Technika „Latający smok uderza ogonem” w moim wykonaniu. Ok. 1979 r. Fot. Stanisław Filipowski.

Problem był więc poważny, bo choć to gremium miało władzę wyłącznie na zasadzie uzurpacji, ale przez powiązania z partią i bezpieczeństwem mogło dużo. Sytuacja wymagała ode mnie bardzo zręcznego manewrowania. To przesłuchanie skończyło się niczym. Prokurator w końcu odpuścił. Donos o „nielegalnej sekcji TKKF” nawet jemu wydał się absurdalny. Ale to był dopiero początek.

Wkrótce szkoły zaczęły na wypowiedziach sale treningowe. Załatwialiśmy następne, ale zawsze przy takiej zmianie adresu wykruszała się część ludzi.

Przykładowy manewr tej „komisji” wyglądał tak: Wynajmowaliśmy salę należącą do domu dziecka przy ulicy Mostowej. Tę samą salę, w innych godzinach, wynajmowała sekcja Kyokushin Janusza Gutkowskiego. Dyrektor domu dziecka „został powiadomiony”, że nasza działalność jest „nielegalna”. Zwrócił się z pytaniem do zarządu TKKF. Zarząd TKKF skierował pytanie do w/w komisji, a w jej imieniu odpowiedział dyrektorowi Janusz Świerczyński. Tą metodą donos był weryfikowany przez tych samych ludzi, którzy go złożyli. Oczywiście salę straciliśmy.

Konflikt był nie tylko na poziomie walki o sale treningowe, których był deficyt. Różniliśmy się skrajnie w sprawach podstawowych. Ja zabraniałem przechwalania się i popisywania. Podobnie postępowali Alek Trofimow i Marek Stefaniak. Natomiast narracja głoszona przez ludzi Kyokushinu była wręcz odwrotna. Słyszeliśmy, że ich mistrz Masutasu Oyama wszystkich pobił, wszystkich zabił, że pokonał w walkach na śmierć i życie wszystkich mistrzów, wszystkich stylów i tym podobne bzdury. Miał ponoć być w Chinach i pokonał wszystkich mistrzów kung fu. Na mój gust mistrzów kung fu jest w Chinach jakieś pięć milionów lub więcej, więc musiał się biedny Oyama napracować.

Ale była i rzecz gorsza. To środowisko było agresywne. To była nowość, bo dotąd nikt nikomu nie bruździł. Z Alkiem Trofimowem byłem nawet zaprzyjaźniony. Natomiast od ludzi z Kyokushinu cały czas słyszeliśmy, jak to oni wszystkich pobili i niemal zabili, a w ogóle to u nich są „najlepsze techniki”, zaś inne style są nic nie warte. To był oczywisty absurd, bo techniki walki nie są lepsze i gorsze, tak jak w gimnastyce, lub tańcu, nie ma lepszych i gorszych ruchów. Zresztą techniki Kyokushinu są dokładnie te same, co we wszystkich stylach karate.

Pod koniec lat 70. Alek Trofimow sprowadził do Kina Polonia na jednorazowy pokaz film z Bruceem Lee „Wejście smoka”. Na pokaz zważył się taki tłum młodych ludzi, że wezwane do ochrony kina ZOMO poległo i zwiato. Dopiero połączone siły naszych klubów opanowały sytuację (kilka lat później ten film wszedł normalnie do kin). Zaczęła się moda na kung fu.

Tu wyjaśnienie pewnego mitu. Bruce Lee nie był „mistrzem kung fu”, „Twórcą kung fu” (miałby żyć od paru tysięcy lat) i nie „zginął od ciosu, który sam propagował”, jak głosili niektórzy. Bruce był obywatelem USA, amerykańskim aktorem grającym w filmach walki. Trzeba przyznać, że wykonywał techniki bardzo dobrze i szybko. Ale to wszystko. Nie zginął też od żadnego ciosu, tylko zmarł z powodu alergicznej reakcji na leki. A tytułowanie go „mistrzem kungfu z Hong Kongu” to typowe (i niestety powszechne) mylenie fikcji filmowej z rzeczywistością. Z Hong Kongu była wytwórnia filmowa, a Bruce mieszkał w USA.

W 1979 lub 1978 roku dostałem kolejne wezwanie do prokuratury. Tym razem usłyszałem „zarzut”: „podważanie mecenatu państwa w sporcie”. Zapytałem, jaki to artykuł kodeksu karnego. Usłyszałem, że „działanie na szkodę PRL”. Przez pewien czas nic się nie działo, aż przyszło lato 1980 roku. W całej Polsce zaczęły się strajki. Sprawa, jak to się mówi, zdechła. Ani nie została umorzona, ani nie była kontynuowana. Pomyślałem, że strasznie słaby ten PRL, skoro sport może go „podważyć”.

To wezwanie było krótko po tym, gdy Staszek Tokarski i ja, z moimi uczniami, wystąpiliśmy w filmie Janusza Kijowskiego „Kung Fu”. Ten film wcale nie był o kung fu, tylko o ludziach przeciwstawiających się władzy, ale były w tym filmie przerywniki z naszych ćwiczeń. Dokładnie pierwsze ujęcie tego filmu, to moja twarz podczas treningu.



Kadr z filmu Janusza Kijowskiego „Kung Fu”. Na pierwszym planie Stanisław Tokarski. W głębi my. Ja pośrodku w czarnym stroju.

Film miał początkowo mieć tytuł „Samoobrona”, ale nie zgodziła się cenzura, więc Janusz Kijowski zmienił tytuł na „Kung Fu” i przeszło, bo cenzor nie wiedział co to jest.

W latach 1976- 1979 zliczyłem w międzyczasie cztery wyprawy w góry wysokie. Dwie pierwsze w Hindukusz Afgański, trzecią brytyjską (byłem jedynym Polakiem) na Tirich Mir w Pakistanie, czwartą w Himalaje Kaszmiru, którą kierowałem. Wszedłem na tych wyprawach na 7 sześć- i siedmiotysięczników.



Prowadzę trening w sali baletowej Teatru Wielkiego. 1980 rok. Fot. Mira Filipowska.

Sytuacja zmieniła się w 1980 roku. Zostałem działaczem „Solidarności” i otrzymałem wsparcie związku. Przez rok prowadziłem treningi w sali baletu w Teatrze Wielkim. Wynajmowaliśmy też bez problemów sale w szkołach. Wcześniej, w 1989 roku dałem pokaz naszej szkoły w programie drugim telewizji, razem ze Staszkiem Tokarskim, który zrobił pokaz judo. Wykonałem dwie formy: „Formę Tygrysa” i „Trójkąt Siły”. Dziś żałuję, że nie zadbałem o dokumentację, o nagranie. To gdzieś w archiwach TVP zapewne jest, ale archiwista musiałby bardzo chcieć to znaleźć, bo nie potrafię nawet podać nazwy programu. Wiem tylko, że to był cykliczny program prowadzony przez kobietę i złożony z kilku oddzielnych zupełnie różnych tematów. Ale jak się nazywał i kiedy (data) był wyświetlony?

Żałuję, bo zrobiłem te formy tak, że widzom szczęka opadła i wiem, że już nigdy nie zrobię tak formy, a teraz to już w ogóle żadnej formy nie zrobię. Ale tak już jest. Człowiek później żałuje, że czegoś nie zapisał, że nie zrobił jakiegoś zdjęcia... Ale nie zrobił, to nie zrobił i po ptokach.

Forma, po japońsku kata, to pewien stały układ technik walki, wykonywany zawsze w tej samej kolejności.

Byłem bardzo zaangażowany w Solidarność i gdy przyszedł stan wojenny kłopoty zaczęły się na ostro. Najpierw ogłoszono całkowity zakaz zgromadzeń, w tym zajęć sportowych. Oczywiście natychmiast straciliśmy wszystkie sale treningowe. Zaczęliśmy „nielegalnie” ćwiczyć na dworze, co nie było zbyt wygodne, bo była dosyć mroźna i śnieżna zima. Kilku naszych chłopców urządziło sobie salkę treningową w piwnicy. Dali się podejść ekipie telewizyjnej „Dziennika”. Reporter udając przyjazny reportaż ich sfilmował, po czym poszło to z komentarzem, jak to „wrogowie ludu” się zbroją i WRON (Wojskową Radę Ocalenia Narodowego) chcą obalić. Zaraz po tym nadano reportaż z treningu sekcji karate Shotokan Leszka Drewniaka pod tytułem „Tacy jak Bruce Lee”.

Ale to były jeszcze pieszczoty. Prowadzenie klubu w takich warunkach wymagało ciągłego kombinowania. Mnie początkowo udało się uniknąć internowania, ale 8 czerwca 1982 roku zostałem aresztowany. Wraz ze mną wpadła grupa podziemia złożona w dużej części z instruktorów kung fu.

Klub po prostu rozpadł się na kawałki. Część przejął Staszek Filipowski, drugą część Piotr Osuch i Jacek Świątkowski. Wszyscy trzej mieli już stopnie mistrzowskie.

Ja wylądowałem w areszcie śledczym na 8 miesięcy. Pierwszego dnia, podczas bardzo brutalnego przesłuchania, kapitan oddziałów specjalnych milicji, Jerzy D. (obecnie „ekspert” telewizyjny od terroryzmu, wojny, samoobrony, uprawy truskawek, wypieku ciastek i wszystkiego innego na czym też się nie zna) przystawiał mi do głowy nabity i przeładowany pistolet, grożąc przy tym zastrzeleniem, torturami i wszystkim, co tylko wymyślił. [Gdyby pan kapitan raczył zaprzeczać, to w IPN i aktach sądowych znajdują się stosowne dokumenty]. Ten pan był też bardzo ochoczy i aktywny w rozbijaniu strajków na początku stanu wojennego, o czym dziś bardzo nie chce pamiętać. Czemu ten szczegół wspominam okaże się dalej.



Tomek Rybotycki wykonuje formę z dwoma Szablami Dziewięciu Obręczy. Mistrzostwa świata w stylu Hung Gar w Warszawie, 2004 rok. Fot. Krzysztof Łoziński.

Po wyjściu z więzienia byłem strasznie słaby. Musiałem przez kilka miesięcy wracać nawet nie do formy, tylko do normalności. Zajęcia prowadzili już Piotr i Jacek. Prawie rok pobytu w pomieszczeniach o wymiarach 6x3 metry i spacerniaku 7x7 metrów, a mur 6 metrów, zrobiło swoje. Kryminalni mówili, że „ten trzeci pawilon w Mokotowie to przejebana instytucja”. I słusznie. „W Mokotowie”, czyli Rakowiecka 37a, bo w Warszawie „w Mokotowie” się siedzi, a na Mokotowie się mieszka. Treningi prowadzili już Jacek i Piotr. Ja nawet w końcu powróciłem do względnej formy, ale zajęło mi to dwa lata.

Gdy siedziałem w więzieniu, władza powołała Polski Związek Karate i niemal dekretem, nie pytając nikogo o zdanie, wszystkich nas do niego zapisała, do takiej „Komisji innych sztuk walki”, czy jakoś tak. Oczywiście nie chodziło o to, by nam pomóc, tylko odwrotnie, by mieć nad nami kontrolę.

Pod moją nieobecność Piotr i Jacek przenieśli nasz klub do ogniska „Błyskawica” na Pradze północ, w takiej dzielnicy, że „bez łoma nie wychodzź z doma”. Staszek Filipowski wyemigrował do Kanady, gdzie mieszka do dziś.

Lokalizacja klubu na Pradze północ miała swoje uroki, takie jak ciągłe kontakty ze środowiskiem praskich meneli, którzy po prostu przejść obok nas spokojnie nie mogli. Na przykład pewnego dnia dwaj nasi zawodnicy, idący na trening na ul. Namysłowskiej, zostali zaczepieni przez dwóch podpitych jegomości. Jeden był bardzo agresywny, a drugi, trzeźwiejszy, go odciągał: „Jasiu, to są kungfiarze, oni cię strasznie napierdolą”.

Parę razy jakiś menel odgrażał mi się, z pewnej odległości oczywiście:

- Ja cię znajdę!

- Co masz szukać? Podam ci adres. Masz na czym zapisać?

I jakoś żaden nie chciał zapisać.



Forma z dwoma szablami Tao. Mistrzostwa świata w stylu Hing Gar w Warszawie, 2004 rok. Fot. Krzysztof Łoziński.

W „Błyskawicy” poza nami byli jeszcze kulturyści, spośród których major Edward Misztal rekrutował ludzi do Oddziałów Specjalnych Milicji. Między innymi podwładnych kapitana Jerzego D. Kulturyści do specjalnych akcji i „antyterroryzmu” się kompletnie nie nadawali, ale świetnie się sprawdzali do bicia na przesłuchaniach i generalnie bicia. Oczywiście nie wszyscy kulturyści brali w tym udział. Większość po prostu ćwiczyła i z działalnością majora i kapitana nie miała nic wspólnego.

Jednym z wyczynów podwładnych majora Misztala był napad na Prymasowski Komitet Pomocy Internowanym w Kościele Św. Marcina na Pivnej, wywiezienie tych ludzi do lasu i pobicie.

„Do najbardziej drastycznej formy przeciwdziałania aktywności Komitetu doszło 3 maja 1983, kiedy to nieumundurowani funkcjonariusze oddziałów specjalnych MSW dokonali najścia na pomieszczenia Komitetu w klasztorze. Zdemolowano lokal, niszcząc zagraniczne leki (trudno dostępne w owym czasie), uprowadzono i pobito sześciu opozycjonistów (m.in. Łukasza Kądziałę, Wojciecha Sawickiego, Jacka Sieradzkiego i Włodzimierza Żarneckiego). Ponadto pobito Barbarę Sadowską i dlatego na pogrzebie swojego syna Grzegorza Przemyska miała rękę na temblaku. Z dokumentów Służby Bezpieczeństwa wynika, że akcją oddziału antyterrorystycznego ZOMO kierowali Edward Misztal i Janusz Smuga.”

Wikipedia.



Set sparring – forma wykonywana przez dwie osoby, taka układana walka. Mistrzostwa świata w stylu Hung Gar w Warszawie, 2004 rok. Fot. Krzysztof Łoziński.

Mniej więcej po dwóch latach odbyła się wielka uroczystość, ileś tam lecie „Błyskawicy”. Zrobiliśmy z tej okazji pokaz naszych umiejętności. Po pokazie major Miszta zaproponował mi, bym szkolił jego ludzi. Odmówiłem.

- Pieniądze nie grają roli - powiedział na to Miszta.

- Nie chodzi o pieniądze, ale o to, że milicja do robotników strzela – odparłem. Miałem jeszcze świeżo w pamięci śmierć górników z Kopalni „Wujek”.

- No, z tym strzelaniem to nie tak było.

- Było tak, że ludzie byli żywi, a są martwi.

Po pewnym czasie, jeden z naszych dał się skusić. Wyrzuciłem go z klubu. Później wycofał się z tej działalności i przeproszał. Przyjąłem go z powrotem. Historycznie kung fu ćwiczone było w tajnych stowarzyszeniach. Stąd wywodzi się zasada: nie szkolimy wojska i policji. A ja jeszcze miałem dodatkową motywację. To chyba oczywiste.

W 1987 roku pokierowałem wyprawą w Himalaje Nepalu i zdobyłem kolejny szczyt. W następnych latach 1987-89 spędziłem sporo czasu w Indiach, Singapurze, Chinach itp. Ale to odrębna historia.



Forma z dwoma nożami motylkowymi. Mistrzostwa świata w stylu Hung Gar w Warszawie, 2004 rok.
Fot. Krzysztof Łoziński.

Powrót do normalności

Z tej całej „wojny polsko-jaruzelskiej” powoli wychodziło powietrze. Życie normalniało. Pojawiły się kolejne ośrodki kung fu (Poznań, Trójmiasto) i tacy mistrzowie jak Darek Muraszko, Sławek Pawłowski, Roland Józefowicz, Janusz Szymankiewicz i inni. W tworzenie stylu Ving Shun zaangażowali się Janusz Szymankiewicz i Marek Stefaniak, który był jednym z twórców polskiego karate. Pojawiła się szkoła Andrzeja Braksala, który wcześniej nie trenował kung fu. Po prostu ukończył AWF i zabrał się za prowadzenie zajęć. Środowisko zaczynało się integrować. Nawiązaliśmy kontakty z Krakowiakami od Grzegorza Ciembroniewicza i z ludźmi z Pszczyny (Jan i Józef Brudni, Józef Sosna). Wybaczcie, że nie wymieniam wszystkich, ale piszę tak, jak pamiętam. W końcu to moje opowiadanie, a nie wykład z historii.

W końcu spotkaliśmy się po raz pierwszy wszyscy, w Warszawie. Zaczęliśmy tworzyć podstawy własnego związku. Trzeba tu jeszcze wspomnieć o Wietnamczykach. Nie jest prawdą, że Wietnamczycy założyli kung fu w Polsce, ale jeden z nich odegrał istotną rolę. Był nim Nam. Dokładnie nazywa się Bui Ngoc Nam i prowadzi obecnie jedną z poważniejszych szkół walki, znaną jako „Szkoła Nama”. Nam przez pewien czas, w latach 70-tych, prowadził część treningów w moim klubie. Ukrywał się przed wietnamską bezpieką, która chciała go wysłać do sadzenia ryżu, a mógł zarabiać tylko ucząc kung fu. Na prośbę kolegów umożliwiałem mu prowadzenie odpłatnych zajęć z zakresu Tai Chi. Sam uczestniczyłem w tych zajęciach, bo na sali musiał być ktoś z uprawnieniami instruktorskimi, a Nam miał tylko nieważny już wietnamski paszport. Później, już po przemianach w Polsce, koledzy zdołali załatwić mu polskie obywatelstwo. Ostatecznie wietnamska komuna do sadzenia ryżu go nie wysłała.



Pierwsze spotkanie klubów kung fu z całej Polski w Warszawie. Siedzę drugi z prawej w drugim rzędzie. W trzecim rzędzie klęczą od prawej: Jacek Świątkowski, Leszek Gago, Piotr Osuch. Za Leskiem Gago Leszek Kózka. Konia z rzędem temu, kto rozpozna wszystkich.

Po 1989 roku dosyć szybko założyliśmy własny Polski Związek Kung Fu - Wu Shu. Związek parę razy zmieniał nazwę. Obecnie od 2002 roku nazywa się Polski Związek Wushu. Ale ja już w te ramy organizacyjne się nie angażowałem.

W 1991 roku. Napisałem jeszcze z Jackiem Świątkowskim i Piotrem Osuchem książkę: „Hung Gar Kung Fu - Potęga Południowej Pięści”. Jest to podręcznik techniczny stylu Hung Gar.



Po raz pierwszy uzyskaliśmy możliwości większego otwarcia się na kontakty zagraniczne. Moi uczniowie zaczęli uczestniczyć w międzynarodowych zawodach. I okazało się, że reprezentujemy całkiem niezły poziom. Piotr Osuch zdobył złoty medal w Turnieju Klasztoru Shaolin, zawodach

wprawdzie nie będących mistrzostwami świata, ale będących w randze mistrzostw świata. A później już poszło. Stopniowo pięciu zawodników wywodzących się z mojego klubu zdobyło złote medale na mistrzostwach świata. Byli to Piotr Osuch, Jacek Świątkowski, Ernest Szybowski, Piotr Leszczyński i Tomasz Rybotycki. Srebrny medal zdobył też Leszek Kózka.

Ja wycofałem się już z prowadzenia zajęć, z powodu wieku i nadmiaru innych życiowych atrakcji. Ale jeszcze dobre parę lat trenowałem.

W pewnym momencie powstał problem formalny. Nie miałem żadnego dokumentu potwierdzającego mój stopień mistrzowski, bo prywatny list mistrza Naoki trudno uznać za dokument. Początkowo zarząd Polskiego Związku Kung Fu - Wu Shu wystawił mi zaświadczenie, pod którym podpisało się czterech mistrzów świata, zarazem moich uczniów. Powstała sytuacja absurdalna. Ja, pierwszy Polak, który miał czarny pas w kung fu, przez którego treningi przewinęło się parę tysięcy ludzi, musiałem udowodniać, że mam stopień mistrzowski. W końcu mój uczeń, Jacek Świątkowski, wystawił mi oficjalny certyfikat mistrzowski. Joanna Cieśla w „Polityce” napisała, że uczeń nadał mistrzowi stopień. Brzmiało to komicznie, ale to nieprawda. Jacek nie nadał mi stopnia, tylko wystawił mi potwierdzający stopień dokument.



Piotr Osuch z żoną i polsko-chińskimi dziećmi odwiedził mnie po latach u nas na Mazurach.

No cóż, nastały czasy normalne. Moi uczniowie prowadzą własne szkoły walki, i mieszkają w różnych miejscach, Jacek w Polsce, Piotr w Pekinie i w Polsce, Staszek Filipowski w Kanadzie. Dzisiejsze młode pokolenie o mnie nie pamięta. Działalność w czasach normalnych, to już nie dla mnie.

Pojawiły się nowe zjawiska, MMA, Krav Maga, czyli mordobicia podwórkowe, bez żadnej techniki i bez sensu. To nie mój świat. Dla mnie sztuka walki była w pierwszej kolejności SZTUKĄ, a dopiero w dalszej, walką. Sztuką, czyli pięknem ruchu, precyzją i sprawnością. Bliżej gimnastyki niż bijaćki.

Jednym z ostatnich moich bojowych występów było obezwładnienie nożownika, który zaatakował mojego kolegę. Jeden z kolegów, Piotr Kosiński, zdołał gościa przytrzymać, ja złapałem go za rękę z nożem i rzuciłem na tai otoshi. Oddaliśmy faceta policji. Jeden z moich kolegów mawiał: pomóż komuś, będziesz miał wroga, uratuj mu życie, będziesz miał wroga śmiertelnego. I tak się stało. Gdy sprawę opisała Gazeta Wyborcza, spadła na mnie fala hejtu. Najbardziej zniechęcił mnie ten, którego uratowałem. Facet uderzył go nożem w szyję, ale nie trafił w tętnicę. Nie poprawił, bo złapałem go za rękę.

Papierosy

W moim pokoleniu niemal wszyscy palili papierosy. Wielu sportowców też. Świadomość szkodliwości palenia istniała głównie teoretyczne. Ja zacząłem palić dość późno, dopiero w wojsku. W szkole byłem jednym z niewielu niepalących, ale jako główny podpadzoch byłem też głównym podejrzanym o palenie. W wojsku było inaczej. W czasie zajęć, była przerwa na papierosa, a kto nie palił, to zaraz dostawał „rejonik”, to znaczy jakąś pracę. Opłacało się palić. Przez dłuższy czas paliłem nie zaciągając się. Znajomy lekarz sportowy pytał, czy palę. Mówiłem: palę, ale się nie zaciągam. A on na to: a ja nie palę i się zaciągam. Myślałem, że to żart, ale uświadomił mi, że on, chcąc nie chcąc, zaciąga się moim dymem.



W Tatrach z papierosem. Lata 70-te. Fot. Jadwiga "Miśka" Łozińska.

Zacząłem, jak wówczas wszyscy, od „Sportów”, później przeszedłem na „Extra Mocne” bez filtra. Paliłem coraz więcej, aż doszedłem do czterech paczek (80 papierosów) dziennie. Odpalałem jednego, od drugiego. Paliłem w czasie wspinaczki, odpalając jednego papierosa od drugiego. Koledzy żartowali, że niosę święty ogień przez drogę. Paliłem w Tatrach i w Alpach. W górach wysokich nie paliłem od bazy w górę i w bazie. Ale w karawanie, to czemu nie?

W mieście nie paliłem podczas treningów, ale przychodziłem na trening paląc po drodze i zapalałem papierosa zaraz po wyjściu. Moim nieszczęściem była moja, chyba wrodzona, duża odporność fizyczna. Miałem albo morderczy trening, codziennie 4-6 godzin, albo góry i też duży wysiłek. Nie miałem kiedy osłabnąć. Uważałem, że papierosy mi nie szkodzą. Gdy przekroczyłem już czterdziestkę i trenowałem mniej, poszedłem na badania przed wyprawą, takie rutynowe badania w przychodni sportowej. Miałem jakoś nieco gorszą spirometrię, ale jeszcze się nie przejąłem.

Podjąłem próbę solowego wejścia na Cho Oyu od strony tybetańskiej. Chciałem mieć jakiś ośmiotysięcznik, bo wprawdzie miałem już sporą kolekcję dużych gór, ale ani jednego ośmiotysięcznika. No i góra mnie pokonała. Doszedłem do 7780 m i zawróciłem. Syn spytał mnie niedawno, czemu zawróciłem tak blisko szczytu. Temu, że zawsze trzeba pamiętać, by zachować siły na zejście, bo zejście bywa większym wysiłkiem, niż wejście. Dalsze parcie w górę, gdy się słabnie, może się skończyć pozostaniem w lodzie na zawsze. 350 metrów na Mazurach, to blisko. Tyle mam po przekątnej mojego ogrodu. Ale w okolicy ośmiu tysięcy, to cholernie daleko.

To było kolejne ostrzeżenie: słabniesz chłopie!

Za jakiś czas poszedłem na kolejne badania. Dmuchałem w spirometr i mówię: zaciął się! A lekarz: nie zaciął się. Nagle zobaczyłem, że zmalała mi pojemność płuc. Od tej pory nie zapaliłem ani jednego papierosa. Myślałem, że problem mam z głowy.

Jakieś dziesięć lat temu zauważyłem, że przy szybkim marszu tracę oddech. Zatyka mnie. Poszedłem na porządne badania. Rozpoznanie POChP – Przewlekła Obturacyjna Choroba Płuc. Choroba postępująca i nieuleczalna. W tej chwili mam już Przewlekłą Zaporową Chorobę Płuc. Dołożyło się ciężkie zapalenie płuc 5 lat temu i COVID-19 dwa lata temu. W tej chwili mam tylko ok. 30 % pierwotnej wydolności płuc.

Nie zostałem pokonany w górach, na ringu, na macie. Pokonały mnie papierosy. Ale nie martwcie się. Jeszcze trochę pożyję, jeszcze coś narozrabiam.



Forma z mieczem. Mistrzostwa świata w stylu Hung Gar w Warszawie, 2004 rok. Fot. Krzysztof Łoziński

Post scriptum. Trudno jest opisać krótko ponad 40 lat życia. Proszę nie gniewać się, jeśli kogoś pominąłem, o kimś nie wspominałem. To nie jest wartościujące. To jest opowiadanie, a nie praca historyczna. Nie grzebałem w archiwach, piszę tak, jak pamiętam.